

# ROMAN I POWIEŚĆ

Rok XIX

Warszawa, dnia 16 Lipca 1927 roku

Nr. 29

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

27)

## ŚLEPOTA WŁADCÓW

Dolin dziwił się, że może rozmyślać o swoich sprawach, wtedy gdy całe zgromadzenie zespalało się, w wielkim podnieceniu. I chociaż starał skupić całą uwagę, nie ogarniała go gorączka otoczenia. Jakże odmienny był stan jego ducha, wtedy, gdy przemawiał Milukow! Wówczas był jednym drżeniem, obawą! Był cały zmieniony w słuch, chłonał słowa. Minęło zaledwie dziewiętnaście dni, a on siedział na tem samym miejscu, nieczuły i obojętny. Wydało mu się, że to był ktoś inny i taki młody i taki naiwny, że mu się nawet zrobiło żal.

A jednak nastrój mógł się udzielić nawet najtwardszemu sercom. To nie była zrównoważona sala z pierwszego listopada. Można by przypuszczać, że ten krótki odstęp czasu wlał w duszę gorzkość, czas nabrał ceny, uczucia biły w szybszym rytmie, i zbliżały się wielkie wydarzenia.

Mówca zdawał się być wyrazem tego nowego napięcia. Zamiast surowego i dogmatycznego profesora stał na trybunie człowiek porwany uczuciami mocnymi i szczerymi. Łysy, brodaty, z pokurczonymi mięśniami twarzy. Od lat nie zabierał głosu. A teraz powracał z frontu, od pokreconych ciał, poszarpanych ran i wojskowy mundur z oznaką czerwonego krzyża, który miał na sobie, nadawał mu wygląd fanatycznego rycerza krzyżowego.

Gniew i zapał pożyłobił jego twarz. Nie mówił, ale wykrzykiwał groźby i skargi.

A głos nabrzmiewał tak gwałtowną namiętnością, że nawet Dolin pomimo swojego zubożenia ulegał stopniowo temu zapałowi. Zdania ciężkie, zdania płomienne zagarniały jego umysł.

— I dzisiaj, tak samo jak wczoraj, czuję płonącą we mnie nieskończoną miłość ojczyzny, nieskończoną miłość mojego władcy...

„Całe zło pochodzi od sił nadprzyrodzonych...”

„Nocą, nie mogę zmrużyć oczu. Przysięgam wam, że nie śpiam. Leżę w ciemnościach i widzę depesze, wiadomości, rozkazy przysłane przez te siły do wszystkich ministrów.

„Jeżeli jesteście naprawdę wiernymi poddanymi to biegnijcie do Głównej Kwatery, biegnijcie do cesarza, rzućcie mu się do nóg i błagajcie go, ażeby was upoważnił do odstąpienia przed nim strasznej prawdy...”

„Wiem, że przez moje usta przemawia cała Rosja bez różnicy przekonań i wyznania, cała Rosja życząca sobie pomyślności swojego cara, swojego kościoła, swojego narodu, cała Rosja zrozpaczona temi dniami cierpień...”

„Panowie, panowie trzeba błagać cesarza...”

Podczas gdy się zrywała burza oklasków i entuzjastycznych okrzyków, Dolin wodził roztargnionem spojrzeniem po tych co go otaczali. Wtem jego oczy znieruchomiały, i cała dusza Jerzego skoncentrowała się we wzroku.

Oparty o barjerę trybuny stał nieruchomo młody człowiek. Bluza khaki ze złotymi epoletami ściągnięta w pasie i przy mankietach, obciągała piękny, smukły i delikatny tors, przylegała do wąskiej i giętkiej szyi. Twarz, oświetlona przez witraż zdawała się być uosobieniem wiecznej młodości. Czyste czoło zakończone kasztanowatymi matowymi włosami, brwi naciągnięte jak struny, oczy o przedziwnym rysunku, przedłużające się łagodnie ku skroniom. Z pod miękkich powiek o bardzo ciemnych rzęsach uciekało spojrzenie jak dym szaro niebieski. Usta wąskie, wężowe jak na malowidłach Leonarda da Vinci.

Lecz nie ta szlachetna i myśląca uroda pociągała Dolina. Od tego nieruchomego młodego mężczyzny promieniowała dziwna siła tajemnicza i skupiona, a w sposobie bycia istniał jakiś wewnętrzny nakaz.

— Kto to? kim jest ten paż? (uczeń ze szkoły Paziów. *przyp. aut.*) — zapytał Teodor zdumiony znieruchomiałym wzrokiem Jerzego.

Dolina przebiegł lekki dreszcz. Powracał z krainy, która była tak odległa. W tej chwili przypomniał sobie że znał tego archanioła z ikony, i że spotykał go przed kilku laty w salonach.

— Książę Feliks Jussupow — szepnął.

A że książę wstał nagle, Dolin zapominając o całym świecie, zerwał się i poszedł za nim.

### VI

### DEPESZE

19 listopad, g. 22 m. 30

„Wyrubowa. Pociąg Jego Cesarskiej Mości. Główna Kwatera.

„Puryszkiewicz kłął zuchwale, ale to mnie nie zabolało. Mój spokój pozostał niezamącony. Bóg was wzmocni. Nie gniewajcie się pomimo złych języków. Zwycięstwo jest nasze, wasz jest okręt i nikt nie ma prawa wstąpić nań. Co by nie było, decydujcie razem. Rada czystych jest rozumem świętych.

„Grigori Rasputin”.



„Wyrubowa. Pociąg Jego Cesarskiej Mości.  
Główna Kwatera.

„Mój ptaszek z gniazdka, gość litościwej  
Mamy, jeszcze próba w poniedziałek. To jest  
parawan i na co jest nam potrzebny ten para-  
wan? Odpowiedz jeszcze, ażeby zamknąć  
ogród warzywny. Dajcie to co jest nam po-  
trzebne. Jak wilk dla owiec! O, nie. Cytadela  
to — Bóg, więźniowie — to dzieci. Dosyć.  
Niech mój rozum będzie przy tobie, a nie na  
ziemi.

„Grigori Rasputin“.

## Trzecia Część K O R E S P O N D E N C J A

### I

#### PRZECHADZKA

Nadszedł grudzień. Lodowa powłoka powstrzy-  
mała bieg wód. Ulice były pokryte kryształem. Lecz  
słońce nie ukazywało się wcale. Żółtawo brunatne je-  
dnolite niebo ciążyło nad miastem.

— Niełatwo znajdziemy — zauważył Dolin.

Książę Jussupow odparł:

— Wierzę w naszą łobrazą gwiazdę.

Byli sami w samochodzie. Jerzy prowadził,  
gdyż nawet na tym rekonesansie zaprzysiężonych nie  
chcieli mieć świadków. Samochód jechał przez ulice  
pełne ruchu. Dolin omijał przeszkody, chociaż do-  
strzegał je z trudem.

Od chwili gdy Jerzy spotkał Jussupowa u wyj-  
ścia Pałacu Taurydzkiego, należał duszą i ciałem do  
tego młodego księcia, który był uosobieniem słodczy,  
tajemniczości i woli.

Jerzy nie widział więcej ani Lizy, ani Teodora  
Donskiego, ani też Laurentjewa. Czas był wypełnio-  
ny przygotowaniami do zamachu i rozmowami z księ-  
ciem. Podczas, gdy rozwijano przed nim plan strasz-  
nej nocy, gdy rozdawano role i przygotowywano ak-  
cję, Jerzy pozostawał milczący i nieczuły. Rozumiał  
doskonale doniosłość postanowień i śmiertelny cię-  
żar każdego powziętego kroku, ale dla niego istotne  
znaczenie miała jedynie młoda twarz o nieprzeniknio-  
nym uśmiechu, mgliste oczy, które czasami otwierały  
się olbrzymie, by rozrzucić snop światła, i powolny  
wytworny głos rzeźbiący słowa niby cenny oręż.

Na nic innego nie było miejsca. Nawet będąc  
samym, nawet będąc zamkniętym w swoim pokoju,  
gdzie spędzał resztę czasu, czuł Dolin tę obecność.  
Siła, jakiej dotychczas nie chciał uznać, przenikała  
przestrzeń, przebijała mury. Umysł pozostał niena-  
ruszony, lecz pracował w próżni i obcy był jego głę-  
bokiej uczuciowości. Rozum pojawiał się wtedy, gdy  
przypominał sobie urzeczenie Lizy. A jednak nie po-  
suwał dalej porównań, bo przeczuwał, że przez ich  
pogłębianie złamie tajemną sprężynę, która mu naka-  
zywała działać.

I Dolin mówił do siebie:

„Idę ślepo za księciem, bo znalazłem w nim  
skończony wyraz moich splełanych pragnień i mojego  
buntu. Jeżeli góruje nademną, to dla tego, że śmiał  
przedsięwziąć to, co ja i tylu innych powinno uczynić

już oddawna. Wnosi do swoich zamierzeń najbar-  
dziej natchnioną energję i rodzaj szlachetnego wzru-  
szenia“.

Ale uspakajając w ten sposób obawy, jakie go  
dręczyły, Dolin wiedział, że te motywy nie wystarcza-  
ją, by wytłomaczyć jego przedsięwzięcie. Źródłem  
ich było to gibkie ciało, o ruchach pełnych wyszuka-  
nego wdzięku, twarz ostra, namiętna, zamknięta, któ-  
rej niezwykła młodość mogła pochodzić je-  
dynie z tajemnych źródeł.

Wtedy Dolin myślał o mongolskich Chanach  
z których pochodzili Jussupowie, o ich przodkach,  
służących Tamerlanowi, o całym szeregu dzikich wo-  
jowników, okazałych książętach — ostatnim i jedy-  
nym spadkobiercą był ten młody mężczyzna, zdawać  
by się mogło, z innej ulepionej gliny, delikatniejszy  
i subtelniejszy. Czyż nie było w tem wszystkim fa-  
talnego zrzędzenia losu. Czyż nie musiał jakimś  
wspaniałym, a straszliwym czynem zasłużyć się wobec  
swych dziadów?

Czyż jego ręce, jego groźne szerokie potężne  
ręce z dziwnie długimi mięsistymi palcami nie były  
wybrane? Coś je obciążało jeszcze mocniej niż pierś-  
cienie, które nosił. One jedynie posiadały wagę u isto-  
ty pozbawionej wszelkiej wagi. Dolin je widział bli-  
sko siebie urobione z krwi, ciała i kości, podczas gdy  
reszta była dla niego spowita w mgły. Można było  
rzec, że są odcięte z innego torsu i przyłączone do te-  
go, miały życie własne i zastraszające. Jakaś wróż-  
ka zemdliała pochylając się nad temi zbyt silnymi  
dłońmi.

Dlaczego, gdy książę spuszczał niebieskawe po-  
wieki na swoje niezgłębione oczy, wyraz jego zadu-  
manej twarzy stawał się jeszcze bardziej odległym?  
Jaki cień niewidoczny, czynił jego milczenie ciężkiem  
i poważnem? Dlaczego, gdy pochylał głowę, odwrócił  
czoło, wygiął wężowe wargi, lub gdy jakiś odblask od-  
bił się na jego rysach, cała twarz zmieniała wyraz  
i rysunek?

Nieuchwytny, natchniony, istotnie piękny jak  
bizantyjscy aniołowie i jak one niepokojący, był ksią-  
żę Jussupow jedynym człowiekiem uzbrojonym  
w urok, który mógł zwalczyć urok tamtego, brodatego  
chłopa, zginającego dotychczas najmocniejszych.

Tak śnił Dolin podczas krótkich dni i długich no-  
cy zimowych. W stolicy rozgorączkowanej tanią roz-  
pustą pięciu mężczyzn knuło mord, po którym spo-  
dziewali się uzyskać wszystko dla swojej ojczyzny  
i swojego cesarza. Tak marzył w tej chwili Dolin,  
zмирzając do ponurego celu swojej jazdy. Rozległ  
się śpiewny, miarowy i poważny głos księcia.

— Nigdy nie było mi tak lekko na sercu, jak te-  
raz. Nigdy modlitwa nie dała mi tyle ukojenia i mo-  
cy. W kościołach, w których klękam codziennie, nie  
czuję mijającego czasu, ani ciężaru godzin. A prze-  
cież nienawidzę krwi, pragnę spokoju i miłości wszy-  
stkich ludzi.

Oparł na swojej potężnej dłoni zbyt wątłą głó-  
wę, która ugięła się od ciężaru tłoczących myśli.

— Wnikasz — zapytał łagodnie — w istotną  
treść tego, co przedsięwierzemy?

Na kierownicy, zadrżały palce Jerzego. Czuł,  
że zstępuje do tajnego królestwa, przynależącego do  
księcia.

(D. c. n.).



## D W O R E K

## N O W E L A

1)

Było to swojego rodzaju „sensacją” w pewnych kołach w Tudor Green, gdyśmy się dowiedzieli, że Gibsonowie kupili dworek, by w nim spędzać sobie końcowe dni tygodnia. Jakoś nikt się nie spodziewał po nich takiego wybryku. Ale wszyscy, byli radzi że ci poczciwi ludzie mogli się zdobyć na taki wydatek, bo ich ogólnie lubiono.

Oni też pysznili się tem naiwnie.

— Bardzo przyjemna rzecz — mówiła Angela Gibson. — Mamusia kupiła dworek. Tak, to miło mieć go wyłącznie dla siebie. Niema na nim żadnych długów i żadnych podatków gruntowych do płacenia.

— To istotnie, udało się. A cóż pan Gibson na to mówi?

— Tatusz powiada, że nam się przewróciło w głowie, i że nam się zachciało wielkopańskich zbytków.

I wszyscy się zaśmieli.

Ale Angela zaczęła się unosić nad powabami tego nabytku. A jednym z głównych to, że to była prawdziwa wieś, tak gdzieś na uboczu.

— O pół mili nie widać żadnego dachu — opowiadała. — Musimy to kiedyś powiększyć — jeżeli się czasy poprawią, albo nasz statek powróci.

Los jednak postanowił, że to się nie stanie.

Angela i jej matka pokazywały fotografię swej posiadłości, a po tych wszystkich zachwytach, jakich się o niej nasłuchano, jej skromny wygląd budził pewne zdziwienie. Był to bowiem tylko zwyczajny dworek, ani mniej, ani więcej. Dwaj młodzi Gibsonowie, całkowicie oddani grze w golfa obojętnie się zachowywali, ale ich siostra była poprostu oczarowaną, śniła po nocach o tej małej sadybce i w trakcie tygodnia wymykała się tam i sama jedna przebywała w tej Arkadii po parę dni.

— Ale czy to bezpiecznie? — zapytał ktoś.

— O! najzupełniej.

Później, spotkawszy znajomych na głównej ulicy Tudor Green ożywiona, z tenisową rakieta w jednej ręce a w drugiej z siatkowym workiem na piłki tenisowe, wypełnionym cytrynami i warzywami, jakie właśnie zakupiła, zatrzymywała się i rozpromieniona opowiadała im:

— Co za szczęście! Rodzice odstąpili mi dworek na cały sierpień. Sprowadzę sobie po kolei wszystkie moje przyjaciółki. Dora Brown i Edna Parker przybędą pierwsze. Same sobie będziemy prowadziły gospodarstwo.

Angela była tłusciutką, białą - różową, wesołą dziewczyną i gdyby była trochę wyższą lub trochę mniej zażywnie zbudowaną, można by ją było nazwać bardzo ładną. W każdym razie miała urodę swojej młodości i swojej nłci. Bo pomimo całej swej zachowatości i zupełnego braku tego wszystkiego co matrony w Tudor Green nazywały „bzdurstwami” była nawskroś kobiecą, czyli tego rodzaju istotą, której płeć jest tak wyraźnie uzewnętrzniona zarówno dla tych, którzy jeszcze niczego nie wiedzą, jak dla tych, którzy już oddawna wszystko wiedzą, że starsi panowie z pewnym zakłopotaniem klepali ją czasem po kolanach w autobusach, a małe chłopaczki ścisnęły ją gorąco i całowały żarłocznie na dzieciennych balikach.

Jakby to określić? Oto Angela, pomimo całej koleżeńskości zachowania się względem dorosłych już przyjaciół swoich braci miała w sobie coś, co świadczyło, że natura przeznaczała ją, gdy pora po temu nadejdzie, na żonę i matkę. A my wszyscy spodziewaliśmy się, że Jack Horland, najdzielniejszy z pomiędzy towarzyszy jej braci dopomoże naturze w uskutecznieniu jej zamiarów. Nic nie mogło być odpowiedniejszego. Wychowali się prawie razem, i pan Gibson bardzo sobie tego życzył.

Angela przywiozła ze sobą pierwszą partję swoich gości wieczorem. Trzydzieści mil koleją przejechały wśród nieustającej ani na chwilę gawędy, poczem dreptały pieszo obok wózka naładowanego ich pakunkami i zapasami gospodarskimi. Ciemność zapadła zupełna, gdy wózek skręcił z gościńca na boczną dróżkę i turkotał hałaśliwie po jej nierównościach, aż zatrzymał się raptem, a woźnica wzięwszy latarnię uwieszoną obok kozła, oświetlił nią ceglana ścianę, parkan, drzwi i ciągnącą się het czarną pustkę aż do bezkresnego nieba. Stały już na miejscu. To był Dworek i wakacje ich zaczęły się.

Angela otworzyła drzwi wielkim kluczem, zapaliła świece, potem olejną lampę i zaczęła wydawać rozkazy woźnicy.

— Tędy, Rogersie. Zanieś te trzy pakunki na górę. A wszystkie ciężkie skrzynie trzeba postawić tutaj.

Spełnił prędko polecenia. Stał z kapeluszem w ręku, podczas gdy Angela płaciła mu należność i dawała napiwek; a światło świecy, jaką trzymała w ręku, padało na jego czerwoną, opaloną twarz i trochę spocone czoło.

— Dobranoc, panienko — rzekł donośnym, wesołym głosem. — Bardzo dziękuję.

Białe zęby błysnęły mu w uśmiechu; odwrócił się i cała twarz zniknęła w ciemnościach.

— Dobrej nocy i przyjemnych snów panienkom.

Panna Edna Parker i panna Dora Brown stały na dworze, przyglądając się dziwaczny przebłyском latarni, która to ukazywała się to nikła w ciemnościach jak błędny ogień. Wpatrując się z natężeniem w gęste welony wiejskiej nocy, dostrzegały w dali jakby setki wyniosłych drzew stłoczonych razem niby wieże kościelne, a tuż blisko gęsty las ciemny i tajemniczy, z którego zdawało się, że lada chwila wyskoczą dzikie bestje lub zaczną się czołgać najwstrętniejsze jakieś ludzkie postacie czarne jak noc, bezlitosne jak przenaczenie. Panującą dokoła ciszę przerywały raz po raz jakieś słabe, melancholijne odgłosy, mogąc pochodzić z tych nieprzeniknionych głębi, gdzie dzicy ich mieszkańcy dręczyli by jakąś nieszczęsną ofiarę. W rzeczywistości darły się w ten sposób sowy.

— Teraz, moje panny — rzekła żartobliwie Angela — zakasajcie rękawy, zdejmcie pończochy i bierzcie się do roboty.

I wszystkie trzy zaczęły radośnie rozpakowywać rzeczy, zamiatać, rozpalać ogień w kuchni i krzątać się ochoczo koło gospodarstwa.

— Anielu! — zawołała Dora podniecona — to jest wszystko poprostu boskie!



— Prawda! — podchwyciła druga — Anielu! ja sobie zabiorę ten dworek; sama dla siebie i nie oddam ci go. Dobrze?

Na wprost wchodowych drzwi były schody wiodące na górę do dwóch pokoiów, małej sypialni w tyle i dużej od frontu, którą Angella nazywała „paradną”. Na dole z lewej strony znajdowała się duża izba mieszkalna, będąca jednocześnie kuchnią. Umeblowanie było bardzo proste, ale ładne. Tanie, jaszkrawe poduszki na sofie i także firanki, dębowe krzesła, błękitna porcelana i brązowe lichtarze. Paradna sypialnia urządzona była ozdobniej. Znajdowało się tu staroświeckie lustro w złoconych ramach nad kominkiem; a na wielkim łożu leżała wspaniała kapa jedwabna, suto haftowana o koronkowych narożnikach miękka i puszysta w dotknięciu. Łoże to przeznaczone było dla pani lub pana Gibson, albo dla nich obojga razem. Angella kazała swoim gościom ciągnąć losy, która z nich zajmie paradną sypialnię, a która pokój w tyle. Ona sama będzie spała na dole w kuchni na polowym łóżku, sprzęcie uczynionym z zielonego płótna i prętów politurowanego drzewa, jakim po ojcowsku szczodry Rząd obdarzył jej brata Harolda podczas wojny. Nie idąc za przykładem wielu czasowych oficerów Harold miał ten zdrowy rozsądek, że zachował owo polowe łóżko i teraz przydało się jego siostrze.

Dziewczęta usiadły do kolacji, którą same ugotowały i nigdy im żadne jedzenie tak nie smakowało. Jedząc żartowały, dowcipkowały, uszczęśliwione, pełne radości życia i poczucia czegoś nowego i potrosze awanturniczego.

Ale nawet ten pierwszy wieczór nie obszedł się bez wypadku. Po kolacji wleciała sowa. Panna Dora Brown znalazła ją w paradnej sypialni, która jej przypadła w udziale i wrzasnęła. Sowa nie robiła sobie nic z jej krzyków. Usadowiła się śmiesznie na lustrze, jakgdyby udając orła, który mógł być wyrzeźbiony na ramie, albo, jak powiedziała panna Edna Parker kruka Edgara Allana Poe. Wszystkie trzy dziewczęta stanęły we drzwiach, patrząc na olbrzymie jak się zdawało kształt owej sowy, jej mrugające oczy i nastroszone pióra. Ale co w niej nad wszystko zastanawiające, to dźwięki, jakie wydawała. Słyszały, że sowy sapia, ale ta warczała i chrząkała niby prosię.

— Może to jakaś zła wróżba — rzekła Dora, ochłonawszy z przerażenia, ale z pewną przesadną obawą. — Co by to znaczyło?

— To znaczy: poprzewracane wszystko do góry nogami na kominku — odparła Edna Parker wesoło — A będzie znaczyć jeszcze więcej, jeżeli nie wypędzimy szkodnika.

Angella wdała się w tę sprawę. Zgasiła świecę, zamknęła sowę samą w ciemnym pokoju i po drugiej stronie drzwi zaczęła głośno klaskać w ręce. Gdy otworzyła znowu drzwi, sowy już nie było. Uciekła, nie zaszeleściwszy nawet skrzydłami, znikła w ciemności nocy, jej naturalnego żywiołu.

— A pamiętaj zapuścić szczelnie firanki, dopóki się nie rozbierzesz i nie zgasisz światła — rzekła Angella stanowczo.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała Dora.

Wkrótce potem dworek utonął w ciemnościach, ale drzwi pomiędzy sypialniami pozostały otwarte i dziewczęta rozmawiały, leżąc w łóżkach.

— Edno! Jaka tu cisza! To coś nowego! Czy czujesz tę ciszę?

— Czułabym, gdybyś nie jazgotała.

— Słusznie. Bardzo dziękuję, panience — szepnęła Dora, cytując różnicę Rogersa. — Jakiś pocziwy człeczyna. Dobranoc. Przyjemnych snów — i w ciemności dał się słyszeć śmiech.

— Czy przestaniecie raz, papple jakieś — zabrzmiał spokojny, stanowczy głos Angelli z dołu. — Powiadam wam, zamknijcie jadaczki.

Zachichotały znowu, westchnęły i usnęły.

Obudziło ich słońce. Nadzwyczajna świeżość letniego poranka wyciągnęła ich z łóżek boso, bez uprzednich ziewań i przeciągań się. Z frontowych okien zobaczyły sosnowy las, a poniżej, niby pod jego strażą, pewną przestrzeń porośniętą wybujałymi paprociami, krzakami jeżyn i dzikich malin. Po obciążonej rosą trawie skakały króliki. Dalej podnosił się ku niebu nagły wzgórek wiodący na ogromne pole wrzosów i janowców, a jeszcze dalej widać już tylko było nieskazitelne, sierpniowe błękity.

Dziewczęta pobiegły do tylnego okna i zobaczyły drogę, dachy odległej wioski, a tuż pod oknem ogródek otoczony żywopłotem, pełnym jeszcze róż, powojów i dzikich winokrzewów. W samym ogródku rosła bujna trawa, kilka starych jabłoni i stała studnia, z której Angella czerpała jeź pracowicie żorawiem pełne wiadra wody. Wyglądała bardzo białą i różowo w słońcu, które opływało ją i cały krajobraz niby woda.

— Och! Jak tu ślicznie! — zawołały obie. Jakże często ten wykrzyknik miał im wracać na usta.

Jak łatwo sobie wyobrazić, prawdziwa wieś była czemś niemal odurzającym dla tych dziewcząt, przyzwyczajonych do skąpych powabów przyrody w Tudor Green. Po śniadaniu wybrały się na eksplorację, skacząc i śpiewając. Zachwyciła ich zwłaszcza wioska, jej kamienny kościół, jej maleńka kolejowa stacyjka, gospoda, kuźnia, sklepik pani Butler, poczmistrzyni, sprzedającej wszystko na świecie równie dobrze jak znaczki pocztowe i polecone koperty. W istocie wioska miała wszystko, czego serce lub wyobraźnia mogły zapragnąć. Miała nawet swego miejscowego idjotę, znanego pod nazwą Księżycowego Dicka.

Angella Gibson i jej przyjaciółki zachichotały uszczęśliwione, usłyszawszy ten przydomek, lecz wnet ogarnęła je litość.

— Dzień dobry, Księżycowy Dicku — rzekł wieśniak z kosą na ramieniu, idący białą drogą, wijącą się pomiędzy dwiema wysokimi groblami.

— Dzień dobry! Dzień dobry! — odpowiedziała ta upośledzona istota, przykucnięta na jednej z grobel.

— Co robisz? Układasz bukiety dla pań?

To było jego zwyczajem. Zrywał dzikie kwiaty i chwasty, co mu popadło pod rękę, wiązał wszystko razem kawałkiem sznurowadła, postronka lub tasiemki, a potem włóczył się za kobietami i dziećmi, ofiarowując swoje niezdarne bukiety.

Złazł teraz z mokrej od rosy grobli na zakurzoną drogę i podał dziewczętom wiązanek.

— Kwiatki! Śliczne kwiateczki. — zamruczał i stanął, wykrzywiając się pocieszenie.

— Cóż za straszidło! — szepnęła jedna z dziewcząt i wszystkie trzy zachichotały.

— Nie! Dziękuję! — rzekła Angella, życzliwie, lecz stanowczo.

Podsunał jej bukietik prawie pod nos i mówił z pewnem zakłopotaniem i natarczywością, mającą w sobie coś dzikiego:

— Tak! weź. Śliczne kwiateczki.

(D. c. n.).